Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY. No. 4. Leszno, dnia 23. Lipca 1842.



Władysław Aleksander Lubieński, Prymas, *Arcybiskup gnieźnieński, r. 1741.*

Władysław Aleksander Łubieński, Prymas, Arcybiskup gnieźnieński, autor obszernego dzieła jeograficznego: Świat w czterech częściach swoich.

(Wyjątek z rękopismu pod napisem: „Życie X. Balcera z Bużenina Pstrokońskiego, kanonika gnieźnieńskiego,“ przez niego samego opisane.)

„Nadeszła w tym roku 1767. jeszcze, pod moją funkcyą trybunalską, epoka dla ojczyzny tragiczna, bo ten sam Pan mój (Łubieński) gdyby był jeszcze pożył, mógłby był przy pomocy boskiéj przeszkodzić rozerwaniu przez sąsiedzkie mocarstwa prowincyj polskich; dla kapituły gnieznieńskiéj szkodliwa, bo ten szczodrobliwy na kościoły dawca, dokończyłby był fabryki kościoła swego gnieźnieńskiego; a dla mnie opłakana, bo lubo bym był już od niego niepretendował dobrodziejstw, jednak był i jest, póki żyję, moim dobroczyńcą. A tę okropną epokę naznaczył dzień 21. Czerwca 1767 r., którego się w Warszawie przeniósł na wieczne życie, dla odbierania nieśmiertelnéj nagrody za zasługi, które dla Boga, kościoła i ojczyzny przez wszystkie stopnie i godności swoje, dobry kapłan, dobry prałat, dobry urzędnik koronny, dobry Arcybiskup, naostatek dobry Prymas, poświęcał. Żył lat 64. W Łowiczu, w kollegiacie, w gronie biskupów, senatorów, prałatów, licznego bardzo duchowieństwa, urzędników i ziemian, przy assystencyi kilkunastu osób swojéj gnieźnieńskiéj kapituły, między którémi i ja też byłem, pochowany jest. Pan ten mój po naukach mniejszych w ojczyznie swojéj, polerował rozum swój w Rzymie. Zwiedził całe Włochy, Francyą, Holandyą, Belgią i państwa niemieckie. Mówił językami: włoskim, francuzkim, niemieckim tak dobrze jak łacińskim i ojczystym. Scholastykiem będąc krakowskim i gnieźnieńskim kanonikiem, był z kapituły krakowskiéj na trybunał koronny deputatem, tém lepiéj dla sprawiedliwości, że miał z województwa sie-

radzkiego kollegę, brata swego rodzonego, który Wojewodą poznańskim umarł. Na tym trybunale, bogaty Łaszcz, ostatni z familii swojéj, kanclerz gnieźnieński, prezydował. Wziął potém Łubieński dziekanią gnieźnieńską, która po postąpieniu jego na Arcybiskupstwo lwowskie, dostała się imiennikowi jego Maciejowi, sandomirskiego kasztelana synowi, w katedrach krakowskiéj archidyakonowi, warmińskiéj prałatowi, ś. Michała na zamku krakowskim bogatego funduszu proboszczowi, a podczas bezkrólewia do Rzymu, Neapolu i Wenecyi, z oznajmieniem śmierci Augusta III. posłowi, już od niego, jako Prymasa, delegowanemu. Zaś prebendę w katedrze gnieźnieńskiéj przez Macieja, Prymasa, pradziada swego, na familią swoję, fundowaną, Stefanowi, synowcowi swemu odstryjecznemu, kanonikowi od siebie kreowanemu gnieźnieńskiemu, dzisiejszemu opatowi trzemeszeńskiemu, oddał i rezygnował. Daléj potém skoro poznano Pana tego z talentów godnego promocyi, książę kardynał Lipski, Biskup krakowski, prawie sercem monarchy natenczas władający, zalecił go Augustowi III. na pisarstwo koronne, które otrzymawszy, ustawicznym był przy boku królewskim, w Saxonii w Dreznie, nieodstępując króla, prawie mieszkał, a to na własnym swoim koszcie, oprócz stancyi, drzew i małego do pióra i kancellaryi zasiłku. Zastępował niemal we wszystkich pracach ministeryalnych kanclerza i podkanclerzego, co go było powinno posunąć albo na biskupstwo jakie z bogatszych, albo do mniejszéj pieczęci, a przecie i tę pieczęć wziął przed nim Wodzicki dziekan i oficyał krakowski, Pan z innéj miary dobry, ale w zasługach publicznych i w zdatności daleko niższy od mego Pana, który przeszło lat 20 jak pisarzem tak pisarzem tylko wielkim będąc, w pracy dworu z urzędu swego powinnéj, wszystek zaaurzony, niepodobno, żeby po ludzku nieznał zmartwienia, które rujnowało mu zdrowie i niedługie (jak się potém stało) zapowiadało mu życie. A téj dla niego gorzkiéj expektatywy, podziwienia na to, i żalu wszystkich dobrych patryotów przyczyną była, sama nienawiść i zazdrość ku niemu jednéj pewnéj familii, która swoich faworytów gwałtownemi u dworu sposobami promowowała, a mojemu Panu zastępowała. Przecież nadszedł potém czas do nagrody jego nierychłéj, w któréj został promowowany od króla na Arcybiskupstwo lwowskie i zaraz w drugim roku na godność prymacyalną. Czynności księcia Władysława Łubieńskiego na tém dostojeństwie są te; naprzód co do pobożności: Co dzień prawie, choć w skołataném zdrowiu, Mszą ś. w kaplicy swojéj zamkowéj odprawiał; co tydzień do spowiedzi przystępował; co rok, kiedy się znajdował w Łowiczu, processyą podczas oktawy Bożego Ciała w osobie swojéj odprawiał. Częstokroć kleryków na kapłaństwo niespracowanie i oleje święte poświęcał; każdego roku rekollekcye święte czynił. Co do rządów duchownych: troskliwie się starał, aby w gumnie kościelném odłączano plewę od dobrego ziarna: niegodnym, gorszącym brano plebanie, a dobrym dawano. Żadnego na *curatum beneficium* w Łowiczu nieinstytuowano, albo rzadko kogo, pókąd go sam Prymas każącego nie słyszał, a to o miłości Boga, o miłości bliźniego; tak ta najpierwsza chrześciańska cnota ujmowała serce tego Pana, tego dobrego Arcypasterza. A przeto list pasterski z wielu artykułów złożony, list za synodalne ustawy starczyć mogący, list prawie apostolski, list pełen ducha św. do Archidyecezyi swojéj wydał; przeto do prac pasterskich dobrał sobie cnotliwego i mądrego audytora; przeto, że jeszcze wspomnę ten list pasterski, za swój go własny przyjęli i publikowali, dla zachowania go w Archidyecezyi, następujący: Podoski, Ostrowski i Poniatowski, Prymasowie. Co do Rzeczypospolitéj: wiernym jéj był na wszystkich stopniach godności swoich. Nieunikał od żadnych publicznych rad, sejmów, oprócz jednego tylko sejmu grodzińskiego, dla słabości swojéj. I owszem nie uważając na wydatki, jakich po Prymasie wymaga pobyt w Warszawie, bardzo rad tam przemięszkiwał dla rady i ukontentowania Monarchy. Był wdzięcznym Augustowi III., że go przez prymacyalną godność bliskim o jeden tylko krok boku swego uczynił. Familią tego dobrego króla i świątobliwéj królowéj bardzo i przywiązanie kochał, a jeżeli synowi ich królewiczowi Karólowi osiągnienie księstwa kurlandzkiego nie powiodło się, to saméj tylko przemocy petersburskiego dworu, wprowadzenie na to księstwo uwolnionego od syberyjskiéj niewoli Birona przyznać należy. Familii Poniatowskich po śmierci Augusta drogę do tronu ułatwił i Stanisława, kasztelana krakowskiego syna, urzędnika tylko, bo stolnika wielkiego, na zaszczyt rycerskiego stanu kierował. Ku obywatelom był ludzki. Słyszałem raz z ust jego godne Prymasa słowa, które powiedział jednemu ziemianinowi, niebędącemu przez jakąś nieśmiałość u siebie na obiedzie: „Mospanie Bracie, stół prymasowski jest stół dla wszystkich!“

„Co do fabryk kościelnych, funduszów postanowionych, dóbr i rezydencyi arcybiskupich utrzymywania, on jeden się znalazł, co nieprzyjmował pensyi żadnéj od cudzoziemskich dworów, co podczas bezkrólewia, jakie zwykły bogacić Panów (niektórych ubożąc), samym tylko prymacyalnym dochodem i akcydensami kontentował się, co w długach, nie bogaty wszedł na stolicę prymasowską, na któréj nie długo, bo tylko lat ośm siedząc, zrobił dla kościoła więcéj, niż wszyscy poprzednicy jego. Bo na kościół swój gnieźnieński zgorzały, końcem reparacyi jego, wydał z skarbu swego summę złotych polskich 190,359. Summę 20,000 złtp. na anniwersarz wieczysty za duszę swoję kapi-

tule naznaczył. Kielichem szczerozłotym, najbogatszym i piękniejszym nad inne kielichy prymacyalne i aparatami, skarbiec kapitulny i zakrystyą ubogacił. Dom dla wysłużonych i sprac owanych kapłanów w Łowiczu wymurować i tenże dostatecznym funduszem opatrzyć, usilną jego było chęcią, któréj, że dla krótkiego życia swego do skutku niemógł przyprowadzić, przynajmniéj materyały w wapnie Wisłą z krakowskiego sprowadzone, cegły i drzewo na ten dom przygotowane, kilkanaście tysięcy złotych kosztujące, zostawił. Drukarnią, tak wielce Archidyecezyi i expedycyom prymacyalnym potrzebną, prawie nigdy niebywałą, bo tylko raz jeden za Karnkowskiego (*), Prymasa, w Łowiczu się pokazała, kilkadziesiąt tysięcy złotych kosztującą, do Łowicza wprowadził. Rozciągnął dobrodziejstwa swoje do kollegiat łowickiéj, łęczyckiéj i uniejowskiéj. Kollegiata także łaska, w któréj za młodu jeszcze był na probostwie infułackiém, jako funduszu kanonii gnieźnieńskiéj z prezenty familii Korabitów, uczuła łaski jego. Parafialne także kościoły w dobrach prymacyalnych, jedne postawiał, drugie opatrywał na reparacye, a kościół w Opatowku przyozdobił kaplicą murowaną na ratunek i pamiątkę pochowanych tam zwłok matki swojéj. Kollegiaty kaliskiéj fundusz kanonika bogatszym z hojności jego został, niż był z fundacyi swojéj pierwiastkowéj. Wieś kanonicza, Popów zwana, granicząca z Szczytnikami, dobrami familii Łubieńskich, była prawie kamieniem urazy i skałą zgorszenia dla ustawicznych o granice sporów i kłótni, więc pokój kochający Prymas konstytucyą koronną do Szczytnik przyłączył, a w zamian jéj wieś Prusinowę szlachecką dla kanonika kaliskiego kupił i jeszcze na melioracyą summę piętnaście tysięcy złotych polskich jemu i sukcessorom kanonikom na fundusz dodał i zapisał. Prebendy gnieźnieńskiéj imieniowi i domowi swemu służącéj, piętnastu tysięcy złotych do niéj zapisaniem pomnożył fundusz. Na wyporządzenie, odnowienie kościoła parochialnego w Skierniewicach, ofiarował 20,000 złtp. Gród w Łowiczu na sejmie wyrobił, żeby prymacyalna prerogatywa miała w stolicy swojéj gdzie czynić tranzakcye, nieszarzając się po kancellaryach inszych.“

„A co należy do utrzymania dóbr prymacyalnych, był w nich najłaskawszym dla poddanych nie tak panem, jak raczéj ojcem. Żeby ich na stronie wysłuchiwał skargi, wyjeżdżał wieczorami w pole często, niby dla agitacyi, a to było bardziéj dla poddanych, jak mi się raz zwierzył, bo mię brał z sobą do karety. Dla tego tak wyjeżdżam, mówił, żebym odbierał zażalenia od tego ubóstwa, bo ich odpędzają i nieprzypuszczają do mnie. Pałace i rezydencye prymacyalne, lubo dobrze zostawione od poprzednika swego księcia Komorowskiego, przydatkami nowemi ozdabiał, według swego gustu dla lepszéj wygody odmieniał. A w miejsce pałacu Skierniewickiego, na fundamentach zniesionego, bo cale niezgrabnego, nowy wymurował gustowny i wygodny, i na miejsce dawnéj, jak jaka komórka kapliczki, wspaniałą i śliczną wystawił kaplicę pałacową; któráto cała fabryka sto tysięcy z górą kosztowała.“

„Dla ubogich promocyi Prymas Łubieński czynił wszystko co mógł. Wszystkę w tym punkcie szczodrobliwość jego zamknę, gdy powiem, że dosyć było, jak przypowieść niesie, klamki się pałacu jego chwycić, żeby znaleść fortunkę i opatrzenie na przyszłe swoje aż do śmierci życie. Każdy z dzierżawców dóbr jego, dla łaskawych kontraktów, znaczną substancyą zebrał; każdy z dworzan jego, od najpierwszego do ostatniego, każdy z oficyalistów daleko majętniejszym został, niż kiedy nastał do dworu jego. Duchownych wielu, winni temu Panu promocye swoje. Jędrzéj Młodziejowski z audytora dworu jego podkanclerzem wielkim koronnym i biskupem przemyślskim roku śmierci Prymasa Łubieńskiego kreowany i od niego w Skierniewicach konsekrowany, a po śmierci jego wierzchołka godności, bo pieczęci wielkiéj i biskupstwa poznańskiego dostąpił. Drugi po nim audytor jego, Antoni Sierakowski, z łaski jego miał kustodyą gnieźnieńską, dziekanią płocką i warszawską (bogate są to prelatury) i sekretaryą wielką koronną; potém biskupstwem inflantskiém uczczony. Zamilczam, co dla krewnych i powinowatych swoich uczynił.“

(*) Drukarnia Murmeliusza była w Łowiczu już za Prymasa Uchańskiego. Przyp. Red.

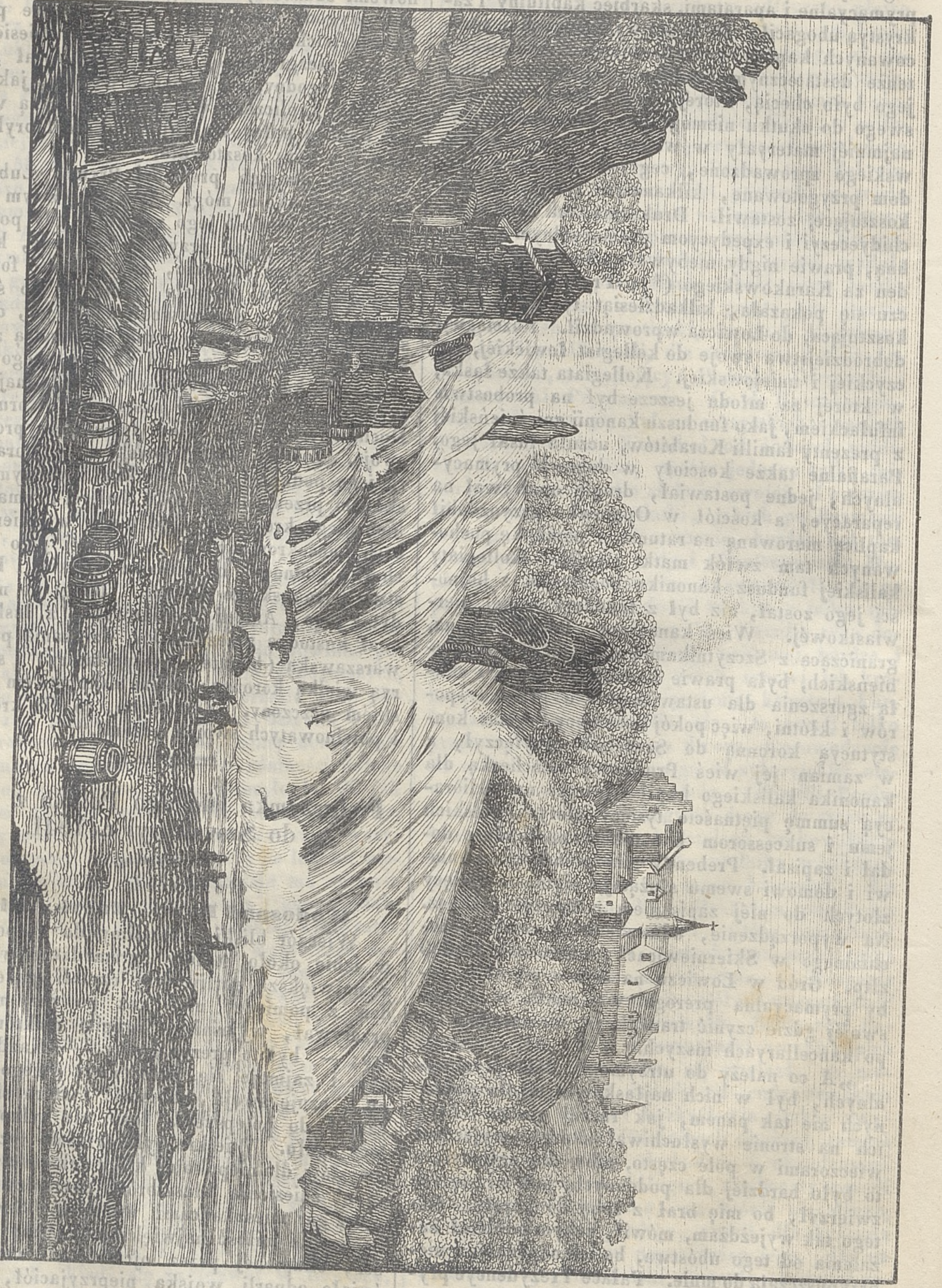
Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział IV.

Wodospad Renu. Zuryk. Rigi.

Wieczór bliski, zaszliśmy do gospody; — w izbie około stołów zgromadzeni wieśniacy z największą gorliwością czytali gazety; jeden z pomiędzy nich raz po raz milczenie przerywał, wyjaśniając drugim niektóre miejsca; — był to prezes gminy. — Każdy chłop zna i zajmuje się położeniem swego kantonu, czuje swoją osobistość i stara się przyczynić do polepszenia losu nie tylko swego, lecz ogółu. Wielkie było właśnie wzburzenie umysłów dla niepokoju, który zakonnicy z przyczyny zniesienia klasztorów pomiędzy spokojnymi gór mieszkańcami wzniecili. Szwajcarzy zachowali miłość największą ojczyzny i wolności, okupionéj przez ojców rozlewem krwi, śmiało odparli wojska nieprzyjaciół, zerwali narzucone sobie cesarzów niemieckich kajdany, oparli się zdradzieckim sztukom podstępnych



Wodospad pod Schaffhausen.



Statua Klebera w Strasburgu.



Barelief na piedestale statuy.

szpiegów, złoto nie miało dla nich powabu, lecz nie uszli innym sidłom. Oto robak, co podkopuje dziś jedność i siłę narodu. Napróżno rozsądni mężowie przemawiają do ludu, naprózno im zgubę przed oczy stawiają, — lud nie słucha rozsądku. Rozbrat między zwolennikami różnych wyznań, rozbrat duchowieństwa i rządu, cóż może pociągnąć za sobą, jeśli nie upadek małych państw? Prócz wzorowéj miłości ojczyzny, zachowali Szwajcarzy uczucie dla piękności natury, obce zupełnie wieśniakowi nadreńskiemu, co równie piękną otoczony przyrodą. Starzec, co się rodził nad wodospadem Renu i codziennie widział to wzniosłe zjawisko, straciwszy na starość światło oczu, życzył raz tylko jeszcze ujrzyć piany rozhukanéj wody. Z głębokim żalem mówił mi, słyszę szum wody, lecz widzieć jéj nie mogę. O ½ mili, rano, kiedy cicho jeszcze, słyszysz łoskot nieznany, za zbliżeniem się coraz głośniéjszy, aż wyszedłszy na górę, ujrzysz błękitne wody Renu, spadające w dół. Wspaniałe zaiste widowisko! Trzy skały sterczą wśród wody, a między niemi bałwany silnemi toczy swe nurty dzikie Ren, i jak morze podczas fali, tak rozuzdane wody raz mącą się w głębi, potém w górę pląsając, daleko dżdżystą sieją kurzawę, znów spadając w coraz spokojniejszych płyną kołysaniach. Tuby na próżno pędzel malarski usiłował przyrodę przenieść na płótno, prędko jak myśl zmieniają się wodospadu obrazy. Nad Renem, na skale, stoi zamek Laufen; z balkonu spokojnie widzisz, jak pod tobą dziki się sroży żywioł. Jakby na przywitanie przychodnia, tak świetne widowisko otwiera bramy do kraju pięknéj i wzniosłéj przyrody. Długo siedziałem nad brzegiem, długo na wodospad patrzałem, a coraz piękniejszy, coraz świetniejszy mi się zdawał; lecz nie tu był cel méj podróży, więc w dalszą drogę. Szafuza leży o ¼ mili od wodospadu, tam się udałem. Stare miasto bez ciekawości, lecz ważne dla podróżnego, tutaj bowiem trzeba się zaopatrzyć w obuwie na góry; pobyt nasz był krótki, zaraz w głąb puściliśmy się kraju. Okolica nie górzysta, lecz pagórki i doliny ciągle się odmieniają. Skwarny był dzień, a kiedy w południe spoczęliśmy w chłodzie, przyłączył się do nas poeta szwajcarski, śpiewak czynów Tella i wolności pasterskiéj; siadłszy na murawie, zaraz nam dowód swego dał talentu; tak szumną zaintonował odę, może i dytyramb, że żaden z nas nie mógł górnego polotu pojąć; nie szczędząc jednakże pochwał, tak sobie poetę zobowiązaliśmy, że każdemu swoje wiersze, które w torbie przy sobie nosił, na pamiątkę odprzedał. Zdawał się to być poeta wygłodniały; widać, że i w Szwajcaryi nie bardzo wierszoklectwo popłaca. W pobliskiéj wsi nas opuścił, bo stary nie mógł z nami pieszo wydołać. Okolice urodzajne, wioski pięknie wybudowane, lud pracowity, a chociaż chłop wieczorem politykuje, w karczmie gazety czyta i radzi o dobru ojczyzny, nazajutrz pilnie swéj doględuje pracy; bo z mądrego rozumowania ani obywatel, ani państwo utrzymać się nie może. Mijaliśmy nie jedną piękną ruinę, nie jeden i nowy pałac; koło Szwamedingen zwiedzaliśmy pola komicyalne, gdzie wielkie sejmy wszystkich obywateli kantonu się odbywają. 20,000 wolnych obywateli tam się zgromadza, a każdy ma wolny głos i zdanie w obradach dotyczących ogół; piękne urządzenie. Z wieczora zaszedłem do Zuryku (*). Nad jeziorem pod górą równego nazwiska leży miasto, pięknemi otoczone wałami, lecz samo nie piękne. Miasta stołeczne kantonów mało mają ciekawości, lecz w Szwajcaryi nie szukaj téż tego, tylko piękności przyrody. Uniwersytet tutejszy miał sławę dawniéj przez Schönleina, a dziś przez Okena. Szpital założony podług planu Schönleina, gmach wielki, lecz jeszcze nie wykończony. Główną miasta ozdobą są promenady na wałach i widoki ztąd na jezioro i okolicę. Z bastionu kot (Katze), dziś ogrodu botanicznego jeszcze w początkach, w cieni starych lip najpiękniéj widzisz całe jezioro. Błękitny żywioł, lekko wał za wałem się posuwa, a słońca żar złocistemi promieniami w tysiącznym odblasku oko cudownie łudzi, jakby złoty toczył się płyn. Brzegi, jak daleko wzrokiem sięgniesz, obfite zdobią winnice, wioska obok wioski, domki białe, jak śnieg Alpów, a dachy czerwone, jak kwiat barwistéj pinonii; świeża drzew zieloność przedziwnie od niebieskawego wód kryształu się odbija; wyżéj z jednéj strony wzgórze Albisu, z drugiéj górę Zuryku, a na tle szczytne Alpy Glarus ujrzysz. Wesołe czołna pląsają po czystéj wodzie, różnobarwne wieją na masztach bandery, śpiew majtków daleko się rozlega. Kto do Zuryku zawita, Gessnera zwiedzi przechadzki. Cieniste ganki nad rzeczką Limat prowadzą, gdzie wdzięczni obywatele ziomkowi stawili pomnik; tu lubił poeta się przechadzać, i w cieni jaworów obok szumiącéj rzeczki śpiewał pasterską pieśń. Nad wieczorem przypłynął statek parowy, republikanina nazwę nosił, i zabrał podróżnych. Miasto Zuryk znikło nagle, słońce za górami zapadło, śnieżne Glaru góry w purpurze płoną; jak niewinny rumieniec na białém licu dziewicy, tak blask słońca rumienił sine pola; za chwilę pobladł śnieg, jak kiedy nagła śmierć z krasnego lica świeżość zetrze, i wieczorny nas owionął wiatr. W Horgen wysiadłszy ze statku, w pocie czoła przeszliśmy przez grzbiet góry Albis do kantonu Zug i stanęliśmy wkrótce przed bramą stolicy. Miasteczko Zug nad samym leży brzegiem jeziora, i jak w zwierciedle, tak się białe domki w czystém przeglądu-

(*) Widok tego miasta umieszczony będzie w przyszłym numerze.

ją jeziorze. Było to w niedzielę; ludu pełno nad jeziorem, czołna stały na rozkazy podróżnych; chłopcy noszą kije alpejskie, długie, dołem w ostre okute żelazo, na sprzedaż; trzeba się w dobrą zaopatrzyć podporę, dziś bowiem jeszcze na szczycie mamy stanąć Rigi. Siadamy w czołnie, dwóch silnych chłopców wiosły robią, a łódka posuwa się ku stopie olbrzyma, co dumném na wody spogląda czołem, Rigi. Jeziorko piękne, dokąd spojrzysz wszędzie wioski, nie bogate, lecz szczęście i spokojność zdaje się w nich zamieszkiwać; na południe wznosi się Rigi, za nim czarna Piłata góra, a na wschód skaliste Myty, dwaj bracia olbrzymi, co Szwicu bronią granic, w oddaleniu bielą się śnieżne Alpy Uri. W Art, wiosce u stopy Rigi, wylądowaliśmy, i zaraz w dalszą udajemy się pielgrzymkę, cztery bowiem godziny trzeba się piąć aż do szczytu, a słońce dokucza; drożyna wąska dla ludzi i mułów prowadzi raz przez łąki, znów po wschodach kamiennych. Uszedłszy nieco pod górę, zwróć wstecz oko przychodniu i nie zazdrość, że Tobie w płaszczyznie opatrzność mieszkanie przeznaczyła. Jedną stroną Zugu ujrzysz jezioro, a drugą co za zniszczenie? są to ślady trzęsienia ziemi; góra runęła, wioskę, ludzi i połowę jeziora Lowrec pochłonęła. 30 lat temu, a zburzenie takie, jakby wczoraj dopiero okropny stał się przypadek. Chociaż z wolna postępujemy, już niezbyt daleko jesteśmy kresu; zewsząd podróżni spieszą, znużeni ostatnich dobywają sił, aby przed zachodem słońca dosięgnąć wierzchołka; nadzieja bliskiego celu dodaje siły. *Oto iszczyt!* zawołał głos, a równie, jak na statku Kolumba zawołanie *ląd*! wszystkich podróżnych uszczęśliwił. Stoję na szczycie olbrzyma, co nie dawno nade mną się wznosił; 14 państw i tyle jeziór widzisz u twych stóp, a dzikie Alpy przyjaznie cię otaczają. Na północ oko ginie w górach badeńskich, wolne Szwajcaryi kraiki leżą obok siebie jak bliźnięta w kolebce, a pomiędzy niemi rozkoszne kołyszą się jeziorka. Na zachód tysiączne doliny i pagórki odgranicza grzbiet Jury; na południe śnieżne góry Uri, Unterwalden, daléj Alpy Bernu, a zupełnie na widnokręgu Białéj góry ujrzysz szczyty. Tymczasem słońce się spuszcza, zapadło, zarumieniły się śnieżne góry, — pobladły, mgły powstały, wiatr zawył, każdy spieszy do gospody, myśląc o wieczerzy. Nazajutrz jeszcze ciemno, już wszędzie życie, stukanie u drzwi, wołanie: czy gore? czy nieszczęście? o nie, oto zorzą ranna już zabłysła i bliski wschód słońca zapowiada. Księżyca srebrne koło coraz bardziéj blednieje, wiatr nielitościwie gwiżdże, każdy w płaszcz się tuli, w ręce chucha; śniegu białość w oczy razi, w dolinie kłęby mgły się wiją. Już na zachodzie Alpów śnieżne szczyty złociste ukazują brzegi; z lekka rumieniec się szerzy, już i obłoki się złocą, aż wystąpiło słońce na niebo, fujara pasterska zabrzmiała; śpiew chłopców witał wstające słońce; w kaplicy Matki Boskiéj śnieżnéj rozlegają się dzwony; wszyscy stoją w zachwyceniu, zdumiewając wspaniałość widoku, wszystko nowy przybiera powab, wszystko nowym żyje oddechem. Raz jeszcze potoczyłem okiem po górach, spojrzałem na obszerne panorama, potém gości pożegnawszy, szedłem ku dolinie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

Pielgrzymka do Ziemi-Świętéj, X. Hołowińskiego.

Wyszły z pod prassy wileńskiéj dwa tomy dopiero tego zajmującego dzieła. Przedstawiemy czytelnikom to, cośmy dotychczas w nich znaleźli. Autor, zaszczytnie już znany z inszych prac swoich, czuł w sobie od lat dawnych żądzę zgłębienia bezstronnego i gruntownego stanu obecnego religii i wyobrażeń na wschodzie. Od młodości, z zaszczytnego powołania swego, zatopiony w księgach świętych i w starożytnych dziejach, czuł on potrzebę niezbędną, czytania jeszcze w jednéj księdze! W wielkiéj księdze pomników i żyjących wspomnień starożytnego świata.

Przyznajemy z zadowolnieniem, że po mistrzowsku w téj księdze czyta! Przedmiot sam, tak ważny i wymagający głębokiéj nauki, znajomości rzeczy świeckich i duchownych, wymagający krytycznego sądu, bezstronności, prostoty i sumienności, dokładnie dotychczas jest oddanym, przez pisarza łączącego te zalety.

Z wyjściem tego dzieła, literatura nasza będzie się mogła poszczycić gruntowniejszym pomnikiem, od licznych a powierzchownych opisów *Turistów* francuzkich i innych.

Styl niewymuszony, łatwy, wzniosły nie szumem wyrazów, lecz prostotą i wzniosłością uczuć, jakotéż ważnością przedmiotu.

Autor, to nam przedstawia zajmujące szczegóły różnych przygód każdemu wydarzających się w téj dalekiéj podróży, to opisuje dokładnie arcydzieła sztuki, to wywodzi trafne wnioski z historycznych wypadków, lub wprowadza na scenę dramatyczne wydarzenia, obudzające ciekawość, przejmujące zgrozą lub podziwieniem, a połączone z sobą *jednotą* myśli i ducha; szczerem przejęciem się prawdami ewangelii i miłością ludzkości, dalekiemi od fanatyzmu lub nietolerancyi!

Pierwszy rozdział jest poświęconym Odessie i jéj okolicom. Zawiera historyą wzrostu, przemysłu, i bogactw tego miasta.

Następnie, przedzierając krnąbrne fale morza Czarnego niedoścignionym w biegu parochodem, przeprowadza nas autor czarodziejską ciasniną

Bosforu, i zatrzymuje zdumiałych w środku zatoki, na pobrzeżach któréj rozkłada swoje piękności gród Konstantyna; swoje liczne przedmieścia, alabastrowe gmachy, melancholiczne cyprysy muzułmańskich cmentarzy, i wyzłacane kraty haremów wielkiego seraju, którego obręb sam jest tak obszerny, jak przestrzeń starego miasta Wiednia, a z murów którego, jeszcze nie zbyt dawno, oznajmiał wieczorną dobą wystrzał powtórzony armat o liczbie kadłubów ludzkich spadających w morze, i o liczbie głów mających nazajutrz sterczyć przy *Cesarskiéj-bramie.*

Tu, pracowicie śledząc wszelkie zabytki greckiéj, bizantyńskiéj i maurytańskiéj architektury, skreśla dokładnie ich historyą, czerpaną z dzieł poważnych, krytycznie zbadanych, nie zaś z opowiadań *Ciceronów*, lub z wystrzyżonych zręcznie okrajek z angielskich Keepsaków. Mówi, co widział, a czego nie widział, (przymiot rzadki w podróżniku!), opisuje podług tego, co widział, umie ocenić gminne podania, czyni nad niemi trafne spostrzeżenia. Wraca na wieczerzą, i na spoczynek do XX. Reformatów, odprawia rano Mszą, z przykładném nabożeństwem, wsiada na dzielnego konia i objeżdża mury Carogrodu, pali Nargile, słuchając tureckich powieści, słowem, jest człowiekiem, nie *scholastycznym pedantem*, nie ckliwą książką!

Ktokolwiek podróżował w tych odległych krajach, oceni łacno, jak niezmordowanie pracować musiał ten, kto tyle zwiedził w tak krótkim czasie, i wśród największych skwarów wschodniego słońca! Niemożna się więc dziwić, jeśli czego nie dostaje w tych opisach, gdyż wszystkie są kreślone z natury, równie jak historyczne podania, nie z miejscowych i tyle razy powtarzanych opowiadań, ale w źródle głębokiéj nauki są czerpane. I tak, w pielgrzymce X. Hołowińskiego znajdujemy tysiąc nowych szczegółów, o których zamilczeli poprzedni wędrowcy, umiał on bowiem ożywić miejsca wskrzeszeniem historycznych ważnych wypadków. Sam ustęp z czasów *Obrazoburzców* zawiera już w sobie zbyt ważny przedmiot, gdyż uosobistnia niejako *mit* filozoficzny bizantyńskiego cesarstwa, a powaga, z jaką skreślił autor ten tak dramatyczny okres, o tyle zaświadczy kiedyś o dążności wieku naszego, o ile ironija, skeptyczne uwagi, a nawet życie uczonego i wielce zasłużonego Geebena, malować będą smutną epokę *dyssolucyi*, w któréj żył ten autor. Opisy zwyczajów, obrzędów i miejsc, są dokładne i zajmujące. Żałujemy jednak, że autor nie dość zwrócił naszéj uwagi na piękne wysepki na morzu *Marmora*, (na przeciw Seraju i Skutari), tak malowniczy widok przedstawiające, a których majowa zieloność i bujna wegetacya tak pięknie odbijają od wyniosłych cyprysów, na dwóch przeciwnych brzegach melancholiczny i grobowy cień rzucających.

Te wysepki zowią się *książęcemi*, a mieszkając przez kilka miesięcy w Stambule, miałem sposobność się przekonać, że wraz ze *„słodkiemi wodami“* są saskim, bulońskim Praterem, lub raczéj „saską Kępą“ tutejszego ludu.

Skreśliwszy obraz *Derwiszów kręcących się*, powinienby był także wprowadzić nas (obok wielkiego cmentarza w *Skutari*) do klasztoru *Derwiszów wyjących*. Nierównie ciekawszy przedstawiają oni widok.

Wśród okrągłéj budowy, przy rozwartém wnijściu któréj kupią się przechodnie, dzieci i kobiety; na rozłożonych egipskich mułach kilkunastu Derwiszów, w śpiczastych kołpakach, w szarych i długich sukniach siedzi w koło z krzyżowanemi pod siebie nogami. Jeden, (najstarszy) z siwą brodą, siedzi we środku koła, i czyta rozwartą księgę koranu, a jego jednostajnemu głosowi, wtórują westchnienia kiwających się bezustannie Derwiszów, westchnienia jednostajnie powtarzane, jak bicie zegaru, głos cichy naprzód z głębokości płuc się wydobywający, zamieniający się w krótce w jęk bolesny, potém w wycie przeraźliwe, nakoniec w śmiertelne krtanie.. a modlący się, z oczyma krwią zabiegłemi, z pianą na ustach, z obliczem trupiéj bladości, padają jedni na drugich w omdleniu (w Boskiém zachwyceniu! jak nazywają), i wynoszą ich z przysionka, w którym dwa razy na tydzień odprawiają tę ochydną i niemiłą Bogu modlitwę!

Na własne oczy widziałem dziesięcio-letnich chłopców, niweczących taką modlitwą nierozwinięte jeszcze fizyczne siły. Mało pomiędzy nimi starych Derwiszów, gdyż wszyscy prawie na suchoty umierają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nr. 2. Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujące artykuły:

Statystyka powiatu babimostkiego. — Słowo o drogach. — Protokół o szoseach w Wschowie z dnia 5. Lipca r. b. — Sprawozdanie Wydziału literackiego w Kasynie gostyńskiém dnia 7. Maja 1842. — O pożyczkach na dobra ziemskie z Towarzystwa kredytowego. — O gipsowaniu. — Wypróbowane lekarstwo na mokrzenie krwią bydła rogatego.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)